

Janusz Ramotowski

część VIII z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **02.11.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min,
część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Proszę opowiedzieć o Pana podróży do Francji. Jak do tej podróży doszło?

Janusz Ramotowski: Mówiłem troszkę poprzednio, że w którymś momencie zaczęły docierać do mnie sygnały, żebezpieka w jakiś sposób zbliża się do mnie. Pierwszy sygnał przyszedł od strony Wisa, od Gruszczyńskich. Zapomniałem, widicie, jaką ja mam pamięć. Michał i zapomniałem imienia Pani Gruszczyńskiej. Trudno. W każdym razie ona była przesłuchiwana na moją okoliczność. I szukano. I próbowano ustalić, gdzie ja mogę przebywać. Następnie po zatrzymaniu Michała też go przysłuchiowano i on w jakiś sposób wskazał, że należy mnie szukać gdzieś na Żoliborzu. Z czymś tam się wygadał trochę. Z drugiej strony Ewa Kulik pokazała mi wymianę korespondencji między którymś Departamentem MSW a Komitetem Centralnym. Wtedy zaczęliśmy przygotowywać, trzeba było coś z tym zrobić. Ja mogłem się schować, pójść w kanały i kontynuować, ale bałem się o to, że wszystkie naciski pójdą na żonę. To była pierwsza możliwość. Możliwość druga była poczekać sobie cierpliwie, aż mnie zamkną. Ale jeżeli nie będę nic mówił, to znowu naciski będą szły na żonę i na dzieci. W związku z tym wyjazd. Pierwszy fantastyczny pomysł był, że jedziemy do Norwegii. Z Norwegii ma przyjechać dwoje młodych ludzi, którzy wezmą z nami śluby. My się rozwiedziemy i oni wezmą ślub. Śluby jako dwie rodziny, wyjedziemy. To upadło z naszego powodu, żeśmy się nie rozwiedli. W tym momencie następnym kierunkiem była Francja. Dlaczego Francja? Ponieważ po pierwsze ja współpracowałem z Biurem Paryskim „Solidarności”, po drugie Wojtek Fabiński miał w Paryżu bliskiego kolegę, który mógł nam ułatwić pierwsze ruchy. Dlatego Francja. Tak jak mówiłem poprzednio, zatrudniłem się, czyli zalegalizowałem się. Wystąpiliśmy o paszporty i te paszporty dostaliśmy. Co, jak tam też chyba poprzednio opowiadałem, jest w tym wiele spraw niewyjaśnionych. Chciałbym, żeby się to kiedyś wyjaśniło. Zobaczmy. Ja mogę tylko wrzucić temat

do wyjaśnienia. Dostaliśmy te paszporty. W tym momencie zawiesiłem, skończyłem moją działalność w Podziemiu. Pożegnałem się najpierw z Ewą Kulik i Konradem Bielińskim. Było to bardzo zabawne, ponieważ po raz pierwszy dostali nasz adres i oczywiście hasło, odzew, te wszystkie tam generalne zasady. Kiedy się pojawili, żona otwierała drzwi i zamiast hasła i odzewu słyszę: „Cześć, cześć”. Co się okazało, Bronka chodziła do jednej szkoły, do jednego liceum z Konradem Bielińskim. To było liceum Lelewela, zresztą tam też chodzili bracia Kaczyńscy. Oni chodzili do jednej klasy z Konradem Bielińskim właśnie. Żona była oczko niżej, 2 oczka niżej, 2 klasy niżej. Świat okazał się mały, tajemnice nie aż takie wielkie. Pożegnaliśmy się, pożegnałem się z kolegami. Zaczęliśmy przygotowywać się do tego wyjazdu, patrzeć, co jest najbardziej niezbędne do zabrania. W którymś momencie przed tym wyjazdem, myślę, że to był jeszcze jakiś miesiąc do tego wyjazdu, wpadł do nas do domu łącznik od Ewy Kulik z listem, że Sven jest w Polsce i nie ma go kto rozładować. Naprawdę się przeraziłem, w tym momencie się przeraziłem. Zresztą słabo to rozumiem, znaczy przedtem o tym nie myślałem, myślałem o tym teraz, dlaczego do Ewy, która normalnie była ostatnią osobą, która się dowiadywała, że coś przyszło, co tam się namieszało, pokręciło w tych tam nowo podłączonych liniach, ja nie mam pojęcia. Wygląda na to, że informacja nie dotarła do Zenka Barejki, który zaczął mnie zastępować. Zdziwiające, nie dotarła też chyba do Wojtka Fabińskiego. A w jakiś sposób dotarła do Ewy. Nie potrafię powiedzieć jak. W każdym razie Sven jest, czeka na rozładunek, stoi tu, a tu. Bałem się, ale pojechałem. Zaczęliśmy organizować ten odbiór. Robiliśmy to maksymalnie blisko magazynu Krzyśka i Ewy Kuranów. Byłem ja, Zenek i Krzysiek też. Krzysiek znalazł miejsce, od strony Wiązowny wjeżdżało się w jakąś taką polną, ale dobrze utwardzoną drogę, bardzo porządną. Drugi koniec tej drogi i wyjeżdżało się gdzieś tam na Kuranów. Krzysiek przygotował też sąsiada z traktorem, gdyby się stało jakieś nieszczęście, bo takie nieszczęście już kiedyś miało miejsce. Nie wiem, czy mu mówił, w jakiej sprawie, pewnie nie, w każdym razie sąsiad miał traktor do dyspozycji, w każdym momencie był gotów nam pomóc. Wprowadziliśmy Svena w tę drogę. Możliwość wjazdu do bezpieczki zablokowaliśmy w ten sposób, że wzięliśmy deski z gwoździami wbitymi do góry i w tamten piasek się tamte deski ułożyły. Strasznie żeśmy się bali, czy nie zapomnimy ich wyciągnąć po tym wszystkim, ale nie, nie zapomnieliśmy i rozładowaliśmy. Rozładowaliśmy ten transport, ja już go nie liczyłem, nie oglądałem. Dowieźliśmy do Kuranów, zwaliliśmy i powiedziałem: „Dziękuję, koniec, mnie już nie ma, reszta, Zenek, działaj”. I to był właściwie mój koniec w Polsce. Pamiętam, że jakieś 2 tygodnie przed wyjazdem, jechałem przez plac wtedy jeszcze Dzierżyńskiego, Plac Bankowy, jechałem autobusem, a tam chłopcy odpalili wyrzutniki pirotechniczne. Strasznie mnie to ucieszyło. Taki salut na pożegnanie, można by powiedzieć. Ja byłem gotów, żona była też gotowa na swój sposób. Miała bardzo śmieszna historię w pracy. Był to okres przed 1 majem, bo my żeśmy wyjechali 27 kwietnia. I przed każdym 1 majem co roku dyrektor urządzał odprawę nauczycieli, przydzielając zadania na pochód pierwszomajowy. I co roku moja żona mówiła, że ona nie będzie brała w tym udziału. Dyrektor i tym razem mówi: „Ale tym razem, pani Ramotowska, Pani będzie uczestniczyła w pochodzie pierwszomajowym”. Żonka odpowiedziała ze spokojem jak zwykle „nie”. „Jeżeli ktoś nie chce brać udziału w pochodach, to powinien pomyśleć o emigracji”, powiedział dyrektor. Na co Bronka odpowiedziała ze spokojem: „A to ciekawe, będę się musiała zastanowić”. Mieliśmy wszystko gotowe do wyjazdu. Z dyrektorem wyszło głupio, strasznie się z niego później nabijali, jak wszystko się stało. Tak czy inaczej, 27 kwietnia 1985 roku Piotr Mazurek zawiózł nas na lotnisko. Nie odprowadzał nas nikt. Widziałem ojca tam na galerii, wtedy jeszcze był ten taras widokowy. Myślałem, że już się nie zobaczymy nigdy w życiu, widziałem go z daleka i tyle. Lecieliśmy samolotem Air France. Wybraliśmy specjalnie dzień, kiedy Air France lata, w nadziei, że gdyby coś się stało, to na pokładzie samolotu możemy już wystąpić o azyl. Myślę, że to była duża naiwność z naszej strony. Nic by to nie pomogło, ale był taki pomysł. Pod wieczór, już wieczorem

wylądowaliśmy w Paryżu, żeśmy po południu wylatywali. Tam na nas czekał mój kolega, który kiedyś odbierał, kiedyś pracował ze mną tu w Polsce, później odbierał te przesyłki do Biura [paryskiego Solidarności], Wiesio Moryc. No i Grzesiek Wróblewski, także kolega Wojtka Fabińskiego. Dolecieliśmy, dolecieliśmy do niego, zawieźli nas do Grzeška, tam żeśmy się zatrzymali [niezrozumiale].

Artur Kłus: Grzegorz Wróblewski.

Janusz Ramotowski: Grzegorz Wróblewski, skądinąd ciekawa postać. To był kolega ze studiów Wojtka Fabińskiego. Razem z jeszcze dwoma kolegami zbudowali jacht, którym to jachtem mieli popłynąć na Morze Śródziemne. I to był 1981 rok, grudzień, kiedy mieli wypłynąć. Wojtkowi coś wypadło, nie mógł wypłynąć z nimi, oni we 3 wypłynęli, 13 grudnia zastał ich w Marsylii. W związku z tym zeszli z jachtu, bo wystąpili o azyl, a jacht został w Marsylii i objął się tam o nabrzeże, aż do czasu, aż Wojtek Fabiński dorobił się pieniędzy, czyli już w wolnej Polsce, i ściągnął go z powrotem, płacąc opłaty portowe etc. Ściągnął go do Polski, wyremontował, oddał harcerzom. We 3 zostali, ja z tych 3 poznałem tylko Grzegorza Wróblewskiego. On tam pracował jako architekt, startował w iluś tam konkursach, najczęściej z kiepskim skutkiem, ale żył z remontu mieszkań. Miał, powiedzmy, pieczętę, tytuł architekta już francuskiego. Zatrzymaliśmy się właśnie u Grzeška. Następnego dnia zgłosiliśmy się z Grzeškiem oczywiście na policję. Wystąpiliśmy o azyl. To się sprowadzało do tego, że policja odnotowywała to zdarzenie, wystawiała odpowiedni dokument, protokół z rozmowy z nami. Natomiast paszporty, to wszystko było w dalszym ciągu w naszych rękach. Z tymi dokumentami ciąg dalszy procedury azylowej polegał na tym, że należało się zgłosić do przynajmniej jednej instytucji albo do dwóch, jeżeli nie miało się gdzie mieszkać. Instytucja pierwsza to była OFPRA, to jest Office français de protection des réfugiés et apatrides, czyli, krótko mówiąc, Francuskie Biuro Ochrony i Pomocy Uchodźcom i Bezpaństwowcom. I to była instytucja, która przeprowadzała całą procedurę azylową. Instytucja druga, która zajmowała się uchodźcami, to była France terre d'asile, czyli Francja Ziemia Azylu, która zajmowała się z kolei pomocą ekonomiczną i instalowaniem ludzi we Francji. Oczywiście nawiązaliśmy kontakt z obydwojema tymi instytucjami. I u Grzeška czekaliśmy parę dni na miejsce w ośrodku France terre d'asile. Tak, France terre d'asile. Żeby sprawy biegły dalej. Chyba że 3 dni po przyjeździe ktoś z Biura, pewnie Piotr Chruszczyński, zapytał mnie, czy mógłbym obsmarować ambasadę polską w Paryżu. Z radością. Dostałem tam ileś farby w spreju. I sobie poszedłem wieczorkiem, żeby te wszystkie złośliwe hasła na murze tej ambasady malować. Maluję, cieszę się, patrzę, aż tu do furki podchodzi ochroniarz, typ, który tam tej ambasady pilnował. Kawał chłopca, bary wielkie, tak jak trzeba. Pyta, co tu się dzieje. Ja mówię: „Nic, nic, ja tylko, wiesz, takie małe malowanko robię, ale z drugiej strony płota, to ciebie to nie interesuje”. „Oj, bo do Ciebie wyjdę”. Kiedy się na niego spojrzałem, jaka to jest maszyna do bicia, to pomyślałem, że szanse mam niewielkie. Ale z drugiej strony sam na sam, kurczę. Po raz pierwszy w życiu sam na sam. No to może jednak, nie? Mówię: „Wyłaź”. „O, to ja zadzwonię na policję”. „To dla odmiany Ci radzę, bo jak nie zadzwonisz, to jutro będziesz leciał do Polski. No a ja, no wiesz, i tak zostaję”. W każdym razie przeszły mu tam chęci na wychodzenie, może i dzwonił, może nie dzwonił, nie mam zielonego pojęcia. To nie było aż tak strasznie niebezpieczne, bo najczęściej się nie spieszyli, a nawet jak przyjechali, to było maksimum 48 godzin na dechach w komisariacie, więc obraza żadna. Gdzieś tam trochę po tym malowanku znalazło się dla nas miejsce w ośrodku tego France terre d'asile, czyli jak to się w Polsce lubi nazywać i powtarzać, w obozie. Ja nie wiem, ale ja po prostu bardzo źle przeżywam to, co się w tej chwili dzieje w Polsce, jeśli chodzi o uchodźców, powiedzmy, tych, którzy z tej Białorusi się przedarli. Ja to przeżywam w sposób

straszny. Oni są w obozach. Oni siedzą za drutami kolczastymi ściśnięci jak zwierzęta. Moja żona w którymś momencie miała uczennicę Czechenkę, która uczyła się w sekcji polskiej w liceum międzynarodowym. Dano ją do sekcji polskiej, bo żadnej sekcji czecheńskiej oczywiście nie było, a dziewczyna mówiła po polsku. Bronka zapytała jej, gdzie tak się polskiego nauczyła. A ona mówi: „W więzieniu”. Ona dla odmiany okres pobytu w Polsce spędziła w Czerwonym Borze znowu za kratami. I mnie to strasznie boli, mnie to strasznie boli. Rozumiem, że tę granicę trzeba strzec. Rozumiem, że jest to zewnętrzna granica Unii Europejskiej, ale człowiek, który się mimo wszystko przedostał, człowiek, który wystąpił o azyl, powinien być traktowany jak człowiek, a nie jak jakieś zwierzę. A tak to się tutaj dzieje i to dzieje się w przypadku uchodźców, których nie lubimy, prawda? Tych, których lubimy, już jest łatwiej do środka. Też ich lubię, ale to już inna sprawa. Powiedziałem o tym, bo opowiem troszkę o tym ośrodku. Ten ośrodek mieścił się na przedmieściach Paryża. To jest taka dzielnica Puteaux. I pewnie on jest w dalszym ciągu. Jest to mniej czy bardziej zupełnie normalny hotel. Hotel, w którym są pokoje, które się przydziela rodzinom w zależności od ilości osób etc., ze stołówką, z tym wszystkim, co jest potrzebne do życia. Nie ma żadnych drutów kolczastych, a drzwi nie są zamykane na żadne klucze, nie stoi tam żaden strażnik. Ma się gdzie mieszkać, dostaje się jedzenie. I jest się wolnym, jeżeli chce się wyjść, to wychodzi. Czy mam sprawy, czy nawet obejrzeć ten Paryż. Więc to było bardzo fajne miejsce. Jednocześnie w tym czasie trwała procedura azylowa, czyli my złożyliśmy podania, formalne już wystąpienie o azyl polityczny. Podanie to, wystąpienie należało podeprzeć, znaczy podać powody, dla których uważało się, że jest się w sytuacji zagrożenia. Ja sam to ja nie wiem, co ja bym tam pisał, że chcieli mnie zamknąć. Taka była prawda. Natomiast jednak moi koledzy z Biura Paryskiego powiedzieli, że tak to nie. Tak to nie robimy. Napisz, że wyjechaliście z Polski, ponieważ baliście się, że Czesław Bielecki po aresztowaniu da twój adres. Ja to napisałem. To była podstawa do naszego azylu politycznego. Jednocześnie myślałem ze strachem, co to będzie, jak ja kiedyś będę musiał Czesławowi Bieleckiemu, który jest znany jako człowiek bardzo gwałtowny w zachowaniu, jak ja będę musiał mu to powiedzieć. Stało się, lata minęły, żeśmy się spotkali z Czesławem Bieleckim, Sławkiem, jak lubi, jak się do niego mówi, i mu to opowiedziałem, a o dziwo nawet się uśmieł i ucieszył z tej opowieści, zamiast mnie nawzywać od najgorszych. Ponieważ jedno było pewne, po aresztowaniu Bieleckiego były 2 możliwości, albo on im tam umrze z głodu w czasie tej głodówki, albo Kiszczak pięknie. Pękł Kiszczak, a Bielecki trzyma się dobrze do dnia dzisiejszego. Taki był formalny powód naszego wystąpienia o azyl. Czekaliśmy na rozpatrzenie. Procedura rozpatrywania azylu trwała wtedy około 3 miesięcy. W międzyczasie zajął się nami człowiek, który zajmował się Polakami występującymi o azyl i korzystający z pomocy France terre d’asile, niejaki Pierre Dixsept, wtedy to był Pierre, ja jego nazwiska nie znałem. Pierre’a poznałem później z nazwiska. Tam wypłynęło po prostu. Pierre robił doktorat, był muzykologiem. Robił doktorat ze starych instrumentów muzycznych. I zbierał materiały w Polsce. W tejże Polsce poznał swoją przyszłą żonę, Barbarę. Zaczął się mieszać, kręcić wokół „Solidarności”. 13 grudnia został zatrzymany i wyrzucony z Polski. Zabrano mu również 2 lata jego pracy. Całą dokumentację, którą on zebrał na temat tych instrumentów muzycznych, zabrano, bo trzeba to przeanalizować, czy to miała tajnych zapisków informacji, nie wiadomo czego. A Pierre znalazł pracę we France terre d’asile z uwagi na znajomość ludzi i języka polskiego.

Artur Kłus: Nazwisko jakie miał?

Janusz Ramotowski: Dixsept, to jest siedem, siedem, tak to śmiesznie wychodzi, nazywał się Siedem [soedemnaście] I Pierre postanowił nas z tego Paryża wyrzucić. Mnie nie powiedział nic na ten temat. Natomiast powiedział to Bronce,

tłumaczył to tym, że już ten krótki pobyt wyraźnie wskazuje na to, że ja się wmieszam, będę kontynuował jakieś tam różne dziwne rzeczy z opozycją z Polski. On jest przekonany, że to się kiedyś skończy, chociaż nie miał pojęcia jak. Ale my zostaniemy ani bez języka, ani bez pracy, ani bez niczego, jak to się skończy. W związku z tym on nas wysłał do regionu, w którym jest dużo Polaków. I jeżeli będziemy mieli chęć działać w sprawach polskich, to bardzo proszę, ale na nogi będziemy musieli stawać samodzielnie i nas kierował do Alzacji, do Miluzy właśnie. Ja to traktowałem jako zsyłkę, wściekły, bo ten Paryż już mi się spodobał. Uważałem, że fajny był Paryż. Pewnie przez bardzo długo byłby fajny. Wsiadliśmy w autobus. Autobus robił jakąś taką rundę, rozwożąc tychże uchodźców po różnych ośrodkach. Byliśmy jedynymi Polakami. Jako jedna rodzina wysiedliśmy w Miluzie. Znowu w następnym obozie. Obozie dla uchodźców. Nic, tylko te obozy ciągle były przed nami. Tym razem obóz to był hotel robotniczy, zmieniono sposób jego użytkowania. Zamiast robotników ludzi, którzy byli skądś tam, a pracowali w Miluzie, umieszczono tam uchodźców. Warunki gorsze niż w tym Puteaux, bez wątpienia gorsze. To był pokój na osobę, ale te pokoiki były potwornie małe. Szerokość takiego pokoiku może miała 2,5 m. Długość pewnie ze 3, może 3,5. Krótka mówiąc, łóżko, krzesło, do tego jakiś stolik i koniec. Kuchnia i sanitariaty były wspólne na piętro. My żeśmy zrobili z jednego pokoiku jeden pokój dla nas, dla mnie i dla mojej żony. Dzieciaki miały po swoim pokoju i czwarty pokój już mieliśmy coś w rodzaju salonu i jadalni, wszystko, co chcemy. Był to pokój dzienny.

Artur Kłus: Był Pan z żoną i...?

Janusz Ramotowski: I z dwójkiem dzieci. Dzieciaki nie miały pojęcia, że wyjeżdżamy na stałe z Polski.

Artur Kłus: W jakim wieku były wtedy dzieci?

Janusz Ramotowski: 1985, Łukasz się urodził w 1978, to trzeba było liczyć. Łucja 1973, to już 11, tak, coś tak. Dopiero we Francji się dowiedziały, co i jak. Łukaszowi może to mniej jakoś tam. Natomiast Łucja nagle zrozumiała, że potraciła koleżanki, że to, że tamto, był to dla niej jakiś tam szok. Ale wcześniej trudno było im to powiedzieć. Tyle, no. Znaczący ten ośrodek, ten obóz dawał nam pieniądze na jedzenie, takie tygodniówki żeśmy dostawali. Zajmował się szukaniem pracy dla nas. I to wszystko. I tam się mieszkano. Kuchnia była o tyle ciekawa, że gotowały różne nacje tego świata. W różnych kolorach skóry. Pewnie tak, nawet i wyznanie ma tutaj coś do znaczenia. Dla nas może mniej, ale biedni Arabowie, którzy musieli patrzeć, jak my gotujemy halouf, czyli nieczyste mięso, to mogło być dla nich straszne, ale byliśmy w takim zbiorowisku bardzo różnych nacji i jakoś się żeśmy doskonale rozumieli. No i kursy języka oczywiście natychmiast uruchomiono, tam przyjeżdżała pani, Wietnamka zresztą, żeby nas tego, jedna z tych, była taka pani Wietnamka, był również nauczyciel Francuz, Francuz. Te 3 osoby pamiętam, reszty nie pamiętam za bardzo. Oczywiście chcieliśmy stamtąd uciekać jak najszybciej. Nie dlatego, że nie lubiliśmy innych nacji, dlatego, żeby jednak być na swoim. W tej kuchni niesły się zapachy przedziwne. Bo to skład produktów, sposób przyrządzania, a jeszcze te zapachy wymieszane między sobą dawały cud. Ta kuchnia pachniała cudnie, nie do powtórzenia. W międzyczasie dostaliśmy wyzwanie do DST, Departement de la Surveillance du Territoire, czyli Departament Obserwacji i Kontroli Państwa, czyli ichnia bezpieczeństwa. Dostaliśmy wezwanie do nich. Wcześniej nam nikt nie powiedział z Polonii, ludzie, którzy byli wcześniej, myślałem, że tylko nas taki zaszczyt spotkał. Wzywano wszystkich po kolei, wszystkich, którzy występowali o azyl, byli wzywani na DST, żeby tam przesłuchać, spisać. Ciort ich tam zna. Trafiło

i na nas. Bronka weszła pierwsza. Krótko tam była. Może z 15 minut tam była. Wychodząc, mówi do tłumacza: „Ja tam nic nie wiem, może mąż wie coś więcej, ale i tak nic nie powie”. No i stało się. Następnym byłem ja. Do 13 grudnia miałem neutralny życiorys. „Co robiliście po 13 grudnia?” „Drukowałem gazetę”. „Tytuł gazety? Bardzo proszę”. „Solidarność Walcząca”. Nie ma ona nic wspólnego z tą wielką organizacją Morawieckiego, była to inicjatywa lokalna, zupełnie lokalna. 3 ludzi w redakcji, ja od spraw technicznych, Kuranowie od drukowania. Taka była nasza „Solidarność Walcząca”. W każdym razie powiedziałem, że robiłem tę „Solidarność Walcząca”. Adres drukarni. Odpowiedziałem grzecznie temu panu, tym panom, bo ich było 2 plus tłumacz, że nie mogę tego powiedzieć, ponieważ ludzie pracują w dalszym ciągu w Pdzemiu i nie mogę na nich ściągać żadnego zagrożenia. Później to już się specjalnie o moją dalszą działalność w „Solidarności” nie pytali, dlaczego? Ponieważ wyciągnęli w sposób nielegalny i nieprawny, się bardzo szybko dowiedziałem później, nasze wystąpienie o azyl. To, co było w OFPR-ze, było do wyłącznego użytku OFPR-y. OFPR-a nie wydawała tych dokumentów policji, były to ich wewnętrzne i poufne dokumenty. Oni wydobyli kopię z tego tam foyer, gdzie żeśmy mieszkali. Personel tego foyer im tę kopię wydał. Więc moja dalsza działalność poszła dla nich mniej więcej w tym kierunku. A później tam zaczęli wchodzić, zaczęli tam próbować znajdować jakieś detale. No żeśmy dojechali do tego pięknego momentu, kiedy ten człowiek, bo ja w dalszym ciągu nie wiedziałem, z kim ja rozmawiam, taki jeden starszy i grubawy był bez wątpienia szefem, drugi wysoki, szczupły, bez wątpienia podwładny, natomiast nic więcej o nich nie wiedziałem. Zadał mi pytanie, zupełnie idiotyczne, gdzie można znaleźć Zbigniewa Bujaka. Ja się na niego popatrzyłem. Mówię: „Proszę pana, polska policja szuka go od paru lat, znaleźć nie może. A Paprzy tym biurku tak by sobie od razu chciał. Wie Pan, to jest niemożliwe, to się nie da”. „Jesteście we Francji, macie mówić wszystko”. Powiedziałem poprzednim razem, to ja nie wiem, czy mam mówić wszystko. Zagroził, że nas deportuje do Polski, jak nie będę mówił. Nie wiem, znaczy myślę, że ktoś wyjeżdża po takim okresie tam tego, co robił, to te strachy są jakieś takie inne. Ja nie wiedziałem, czy on może mnie deportować do tej Polski, czy on nie może mnie do tej Polski deportować, nie miałem zielonego pojęcia. Ale z kolei nie bardzo potrafiłem się bać. I nie wiem, co zrobić, dlatego że jakiś człowiek mnie szantażuje. Zresztą szantażu nigdy nie znośłem. Odpowiedziałem mu, zapytałem go, powiedziałem mu, że on mnie zna z papierów, natomiast ja go nie znam w ogóle. Jest człowiek w cywilu, który mnie przesłuchuje. Ja nie znam jego imienia, nazwiska, nie znam stopnia służbowego, a przede wszystkim nie widzę oznaczeń, więc nie wiem, czy Pan był odznaczony za swoją pracę. Tak, tak, przedstawił się, pułkownik Rumelart, imienia nie pamiętam. Byłem odznaczony za swoją pracę. Cudownie, wyślij mnie Pan do Polski, dostanie Pan jeszcze jedno od generała Kiszcza. No i tyle. Wściekł się oczywiście. W następnych przesłuchaniach zaczął się czepiać o tę szkołę w Świdrze. Dopytując się, jakie są szkoły w Świdrze, aż doszliśmy do tejże Akademii Spraw Wewnętrznych. Zapytał mnie, czy znam [niezrozumiałe] tej szkoły. Odpowiedziałem, że tak. Powiedziałem, że za przeproszeniem jego glinę rozpoznaję na kilometr, nawet w cywilu. No i tyle. Więcej się już o tę szkołę nie pytał. Ja zadzwoniłem jednak do Seweryna Blumsztajna. I opowiedziałem Sewkowi o tej historii. Ba, w międzyczasie również znalazłem pracę. Znalazłem pracę, pracę godną mnie i moim umiejętnościom. Jestem technikiem nukleonikiem z wykształcenia. Wątpię, czy się doczekamy uruchamiania pierwszej elektrowni jakiegokolwiek z absolwentów pierwszych tego technikum. Bardzo bym chciał, bo chciałbym wystąpić o honorową legitymację pracownika tejże elektrowni. W każdym razie jestem technikiem nukleonikiem. Moja pierwsza praca tam we Francji to była elektrownia jądrowa w Fessenheim, w zawodzie. Zamiatacz, miotła i broń Boże żadnego wstępu na halę reaktora, reaktorów. I one tam 2 były. Hala turbin czy, powiedzmy, generatora już. Jest to imponująca maszyna, żeśmy sprząkali tam, gdzie jeden z tych generatorów był rozebrany, był remontowany. Niesamowita rzecz, że potrafiłem

oprzeć się na tej mietle i godzinę ten generator oglądać. Technicznie jest to imponujące, rzeczywiście wspaniałe. W każdym razie ponieważ w międzyczasie zjawił się u mnie tenże młody, wysoki, porucznik St. Clair, znowu z jakimiś tam pytaniami. Ja się wściekłem, bo przychodzenie do mnie do domu bez nakazu nie może się odbywać. Ja go zapytałem, czy on przyszedł z jakimś nakazem rewizji, przesłuchania, no nie wiem czego. Nie. „W takim razie drzwi mają klamkę z jednej strony, z drugiej strony, niech pan użyje tej klamki z zewnątrz”, powiedziałem mu. W międzyczasie podejrział, gdzie pracuję. Efekt z tego był taki, że zostałem z tej roboty wywalony. Na pewno wywalony przez nich, ponieważ nasz patron, skończyłem dzień pracy, poprosił mnie o klucz od szafki, mówi: „Wiesz, Janusz, od jutra tu już nie pracujesz”. Tak jak potrafiłem pytam: „Ale dlaczego?” Nie odpowiedział mi, wziął ten klucz ode mnie, cisnął go przez tę szatnię, był wściekły, po prostu był wściekły, że tak łatwo dał się złamać. Może zresztą to był dobry krok w jego dalszym życiu. Jak się zaczął wstydzić tego, że się boi, to może coś z niego wyrosło jeszcze, prawda? Pracę straciłem. Tuż potem zadzwoniłem do Sewka Blumsztajna, okazało się, że on zainterweniował i że pułkownik Romel zamknął moją sprawę. Teczkę zamknął, opieczetował i on ode mnie już nic nie chce. Tak się skończyła moja przygoda z DST francuskim. Mieszkaliśmy dalszym ciągu w tym foyer, zresztą ten mój okres pracy był tak krótki, że dawało to nam jakieś nasze pieniądze, ale takie to były i pieniądze. Więc szukałem w dalszym ciągu pracy, szukałem, szukali tam pracownicy tegoż fuayer. W końcu znalazłem jakąś tam pracę następną. Tym razem byłem malarzem instalacji przemysłowych. Zacząłem wchodzić na rynek pracy. Znaczący ja cały czas miałem tę pracę jako pracownik nie stały w Francji. Znaczący w Polsce chyba teraz też, nie wiem, istnieje coś takiego jak kontrakty tygodniowe. Czyli jest biuro, które ma pulę ludzi szukających pracy. I to biuro wynajmuje tych ludzi na kontrakty tygodniowe. Na kontrakt, można przedłużać tam z tygodnia na tydzień do iluś miesięcy, chyba do pół roku. W każdym razie jest to praca niestała. Patron może się w każdym momencie pozbyć takiego pracownika. W związku z tym biorą z 2 powodów. Po pierwsze, jak jest dużo roboty i trzeba ludzi do roboty, po drugie, ewentualnie jak zastanawiają się, czy kogoś nie zatrudnić na stałe. Jest to dobry moment, żeby sobie człowieka obejrzeć. Zacząłem pracę u malarzy i tam malowałem dosyć długo nawet z tymi malarzami. To jest cały czas ten sam rok, 1985, zima 1985 na 1986, wiosna 1986. Pod koniec tej zimy spadł potworny śnieg. Wszystko zasypało. Miała być wiosna, a to wszystko zasypało. Później wyrzucili mnie z tego malowania, ale szybko znalazłem pracę i później izolowałem te rury, które kiedyś malowałem. Tam siedziałem bardzo długo, było to bardzo fajne miejsce, ale jako pracownik stały tam nie chciałem zostać. Kiedyś znaleźliśmy w Journal d'Azas ogłoszenie, że drukarnia Braun szuka technika elektronika ze znajomością problemów silnoprądowych i ze znajomością niemieckiego. Elektronikiem to ja byłem w okresie epoki kamienia łupanego, w 1980 roku skończyłem pracę w zawodzie. Powiedzmy, problemy silnoprądowe, niech będzie, trzymam się w tym. Natomiast niemieckiego nie znałem zupełnie, ale odpowiedziałem na ten anons. O dziwo, poproszono mnie, żebym przyjechał do zakładu. Przyjechałem i mój przyszły szef oprowadził mnie po zakładzie, pokazał mi tę drukarnię. Jest to imponujące, bo taka maszyna rotacyjna, wtedy zresztą była tylko jedna, ma spokojnie wysokości pewnie z 8 m, długości pewnie z 20. Jest to zawite i skomplikowane urządzenie techniczne. No i mnie pyta tenże człowiek, inżynier Born, jak mi się tutaj podoba. Powiedziałem, że mi się podoba i to bardzo mi się podoba. „A czy pan nie boi się tu pracować?” „Pytanie chyba jest nie do mnie, tylko do pana, czy pan nie boi się mnie zatrudnić?” „To znaczy?” „Ja panu ręczę, że jeżeli pan mnie zostawi na dyżurze, że ta fabryka stanie. Cudów nie ma”. „A nie, to nie w ten sposób. Proszę pana, 3 miesiące pan by pracował na dzień, żeby, powiedzmy wciągnąć się w temat, a później już na zmiany jako samodzielny pracownik”. No to dobrze, no. To mi się podoba i chcę pracować. „Pański niemiecki?” „Nie istnieje”. „Jak to nie istnieje?” „No mówię, nie istnieje, nie znam języka niemieckiego”. „Tak nic a nic?” „Wie pan, nie ma nigdy nic

a nic, ale ja nie znam niemieckiego". Schował jakiś schemat, jakaś tam wodna pompa chłodzenia. Pyta, co to jest, to było napisane Wasserkühlpumpe, to bez znajomości niemieckiego można powiedzieć, co to jest. No powiedziałem. „No widzi pan”. „Ja zdałem test z niemieckiego u pana, ja się bardzo cieszę, ale ja nie znam niemieckiego”. „No tak, no muszę się zastanowić”. Mówię, no to straciłem okazję, nie będę miał dobrej pracy. Po tygodniu dzwoni, zapytał, czy chciałbym rozpocząć jako pracownik na stałe. I oczywiście nie ma żadnej sprawy. No i po 2 miesiącach zostałem przyjęty na stałe. Z tymże człowiekiem mam kontakt do dzisiaj. Teraz jak wrócę, to robimy sobie kolację wspólną po raz któryś, mimo że od lat już tam nie pracuję. Więc jakoś to wyszło. Nomen omen tam też spotkałem się w jego wydaniu z przypadkiem rasizmu, ale nie w moją stronę. Jest we Francji grupa ludzi, uciekinierów z Algierii, białych, którzy kiedyś osiedlili się w Algierii. No i później jak Algeria się wyzwalała, to oni uciekli do Francji. Nazywa się ich Pieds-noirs, czyli „Czarne Stopy”. Bo oni chodzili w długich skórzanych butach w przeciwieństwie do Arabów. I tych Pieds-noirs się nie lubi do dzisiaj. Potomków tych Pieds-noirs. Przyszedł jakiś taki chłopak do roboty, pracownik stały, bardzo dobry, naprawdę dobry, dobry pracownik. Born się go pozbył. „Ale dlaczego, panie Born? To jest naprawdę dobry człowiek”. „Czy ty nie wiesz, kim on jest?” „No nie wiem, wiem, jak się nazywa”. „To jest Pieds-noirs! Koniec. Pieds-noirs roboty nie dostanie”. Tak à propos. No i zostałem w tym Braunie. Born odszedł, ja zostałem. Przepracowałem 30 lat. No i taka była moja kariera zawodowa we Francji. W międzyczasie oczywiście trudno mówić o tym, że można kontynuować jakąś tam działalność polityczną, ponieważ jeżeli ja sam uczę się stawiać pierwsze kroczki po tym kraju, to jaki może być ze mnie pożytek, no nie wiem, w Pomocy dla Biura Paryskiego np.? Więc ta działalność była niewielka, choć zdarzało się, to znaczy jeszcze w tym 1985 roku, i to tuż po przyjeździe, na 31 sierpnia 1985 roku robiłem sypanie ulotek w Paryżu. Nagle się okazało, że Paryż z całą swoją emigracją polityczną ma jakieś kłopoty, żeby znaleźć ludzi, którzy wysypią ulotki. Był jeden, bardzo ciekawa postać. To, co ja o nim wiem, pochodzi z jego opowieści, opowieści innych ludzi. Nie znałem go wcześniej, teraz w ogóle nie wiem, gdzie przebywa. W każdym razie według jego opowieści, opowieści moich kolegów z Biura Paryskiego, Aleksander Stankiewicz był BOR-owcem, był funkcjonariuszem BOR-u. I on obstawiał panią Stanisławę Gierek, jak przyjeżdżała do Paryża robić zakup. A przyjeżdżała raz w tygodniu, więc raz w tygodniu Olek przylatywał do Paryża z panią Gierkową. Był systematycznym gościem. Później Olek Stankiewicz zadał się z naszymi, no i został wyrzucony. To należałoby prześledzić, jak to jest, że funkcjonariusza BOR-u się jednak bierze za łeb i wyrzuca do innego kraju. No nie wiem, coś mi w tym, rzecz do sprawdzenia, ale to chyba nie do mnie należy. W każdym razie był taki Olek Stankiewicz. On miał swój warsztat samochodowy. Naprawiał tam te samochody, oprócz tego czynnie udzielał się właśnie w Biurze Solidarności w Paryżu. Więc to sypanie miał robić Olek, ale potrzebował kogoś jeszcze. No i padło na mnie. Przyjechałem do tego Paryża. Ile my żeśmy tych ulotek wysypali, to ja nie wiem, bo każda następna opowieść zwiększa tę sumę o tam parę tysięcy. Więc jakbyśmy wrócili do tematu za 3 lata, to już będzie taka kupa, że się chyba nie zmieści w tym pokoju ta ilość ulotek. Tak naprawdę każdy z nas miał 2 duże torby napakowane ulotkami. Nie jestem w stanie powiedzieć, ale było to maksymalnie tyle, co dało się wnieść, trudno mówić, że bez budzenia podejrzeń, bo one dostatecznie budziły podejrzania te torby, ale jakoś to przeszło. Wysypaliśmy, pierwsze sypanie to było z łuku Triumfalnego. Uważam, że miejsce bardzo widowiskowe jak na Paryż, jak na sypanie ulotek. Drugie było z katedry Notre Dame, też fajnie. I wtedy chyba mieliśmy jeszcze trochę więcej tych ulotek, bo to łatwo było zanieść, łatwo było wnieść. Byliśmy ubrani w jakieś takie kombinezony robocze. I Olek się przedstawiał, że jesteśmy ekipą od anten telewizyjnych, co nam umożliwiało wejście na dachy tych tam kamienic na ten Saint-Germain. No i wtedy tak z łapy, znaczy tak z za łapy, ale z tych dachów żeśmy te ulotki sypali. Te dachy tak mają mniej więcej 45 stopni, kryte są blachą. Jesz-

cze jakoś tak mokro było, wilgotno. Ja byłem przekonany, że ja zlecę, że ja się zabiję. Ale ten Olek jak ten kot latał po tych dachach. No to on jak, to on BOR-owczyk tak potrafi latać, a ja solidaruch tak nie potrafię latać, no to latałem, latałem tak samo. Jakoś nic złego się nie stało, żeśmy te uloty wysypali. Alek zaciągnął mnie do knajpki, w której ciągle pijał. W tej knajpce byli przekonani, że on znowu przyleciał, to jednak żonę Gierkową woził, chyba jednak to jest pewnik nawet. Kelnerka przyniosła dwie pierwsze olbrzymie lampy wina, które on lubił, i po dwie fiołki aspiryny 1000. Ja pytam, a ta aspiryna po co? Ja nie wiem. Ja cały czas pytam, ja to, ja tamto. Ja zacząłem składać, w sytuacjach krytycznych używałem języka, ale jednak trochę ręką, trochę językiem, bo potrafiłem zapytać, po co te aspiryny. Ona mówi: „Nie wiem, ale pan Olek zawsze kazał podawać. Schowaj do kieszeni, dowiesz się później”. Później też żeśmy wylądowali u niego, żeśmy jeszcze pili. Przed pójściem spać Alek mówi: „A teraz aspirynka przed pójściem spać. Nawet może, wiesz co, podwójną”. I rzeczywiście to działa. Ja się obudziłem bez żadnego kaca. Tak jakbym nic a nic nie pił. Taka była jego tajemnica. W tej chwili mam tu bez aspiryny i nawet nie mogę jej brać, ale lek na rozrządzenie krwi działa tak samo, w związku z tym ja nie znam poczucia kaca.

Artur Kłus: Co na tych ulotkach się znajdowało? Co tam było?

Janusz Ramotowski: Po francusku były napisane jakieś teksty radosne, co się w Polsce dzieje etc., francuskie uloty, które przypominały o 31 sierpnia 1981 roku. Okolicznościowe sypanie, bo to rocznica. Zrobiłem z Olkiem taką akcję w samej Miluzie. Od czasu do czasu Biuro mi przysyłało trochę. – Rocznicę 31 sierpnia 1980 roku. – 1980, przepraszam. 1980 roku. Samo Biuro przysyłało mi od czasu do czasu trochę jakichś plakatów, to tym razem z jakąś taką mocną ekipą nie do zniszczenia, to znaczy ja, moja córka Łucja, mój syn Łukasz myśmy te plakaty lepili. Raz żeśmy nawet jakąś taką wielką banderolę nad autostradą. Na jakiś mostek było przejście, żeśmy przyczepili, ale takie rzeczy mogłem robić. Innych rzeczy nie robiłem, bo byłem daleko od Biura i ustawiałem się we własnym życiu. Miałem z nimi kontakt i to tyle. Tak że to jakiejś tam działalności nie było.

Artur Kłus: Jak Pan tam poznał trochę środowiska, mówi Pan o Sewerynie Blumsztajnie, tam jest jeszcze pewnie Mirosław Chojecki. Jak Pan wspomina te osoby?

Janusz Ramotowski: Parę osób poznałem, nie wszystkie pamiętam oczywiście tak do końca. Mirka oczywiście, znaczy najpierw Piotra Chruszczyńskiego, bo on wtedy był szefem Biura. „Bluma”, bo on kiedyś był szefem Biura, Seweryna Blumsztajna, bo on był kiedyś szefem Biura. Zatem tam jeszcze była jakaś linia taka towarzyska między Wiesiem Morycem a Sewkiem Blumsztajnem. Mirek [Chojecki], to trudno się z nim nie spotkać i nie zderzyć. Bronisław Wildstein wtedy też pracował w Biurze, ale to mieliśmy taki krótki kontakt. Trudno powiedzieć, że ja znałem ... że ja znałem, o Jezus, patrzcie, jaki ja jestem, mówię nazwisko,

Artur Kłus: Bronisław Wildstein.

Janusz Ramotowski: Że ja poznałem Wildsteina w jakimś tam, nigdy żeśmy żadnych spraw nie załatwiali. A i pogadać też pewnie za specjalnie okazji nie było, zresztą on później poszedł do Wolnej Europy, czyli przeniósł się z Biura do biura Wolnej Europy w Paryżu. Danusia Nowakowska, ale nie wiem, czy to było. Tam wszystko było tak

towarzysko-narodowo-patriotycznie. Natomiast ponieważ za każdym razem kosztowało mnie to jechanie do tego Paryża, w związku z tym to jeżdżenie nie mogło się odbywać tak co tydzień, bo nie było takich możliwości. Raczej wiodłem żywot człowieka pocziwego. W jakiś tam sposób żeśmy się włączyli w działalność polonijną. W którymś momencie zostałem prezesem, prezydentem, jak to się tam ładnie mówi, Polskiego Związku Katolickiego. Bardzo silnie i bardzo uczciwie współpracowałem z księżmi, którzy tam byli. Aż to doprowadziło do kryzysu w którymś momencie, który to kryzys, że tak powiem, zakończył te wszystkie działalności. W jakimś okresie czasu byłem prawą ręką jednego z tych księży tam, wszystko, co mu nie pasowało, a co należało pozamiatać, to lubił zamiatać moimi rękoma. Natomiast w którymś momencie zjawił się u mnie taki człowiek, który chciał otworzyć linię lotniczą. Miał jeden samolot, miała być linia lotnicza z tego jednego samolotu. Jako początek działalności chciał zrobić wymianę między jakimiś tam Alzacykami a ludźmi „Solidarności” z Warszawy. Podstawiło mi go Biuro paryskie, pewnie Piotr Chruszczyński. I w czasie pierwszej rozmowy powiedział też, że następna to byłaby pielgrzymka do Rzymu, że on tutaj Polonię z Alzacji zawiezie do Rzymu. Cały czas to była działalność, znaczy działalność, jakby promocją, bo chciał zjednać sobie ludzi, więc to za darmo. I Rzym za darmo, i ta Polska, to wszystko miało iść z tejże firmy. Więc mówię, jeżeli chodzi o Polskę, to jestem w stanie obsłużyć kontakt z „Solidarnością” z Warszawy. Jeżeli chodzi o Rzym, to jest tu ksiądz, który był w Rzymie długo. I myślę, że z nim się to da zrobić. Skontaktowałem ich, u mnie w mieszkaniu się poznali. I to zaczęło tam jakoś pączkować. Nawet do Rzymu było łatwiej i nawet do Rzymu Ci ludzie polecieli z panem Żolidą. Natomiast z tą Polską to jakoś tam się ślimaczyło, jeszcze nie było. Wreszcie zachorowałem, byłem operowany i po tej operacji zaczęli się u mnie zjawiać księża. Najpierw ten mój ksiądz, później jeszcze drugi polski ksiądz, później przybiegł jeszcze ksiądz francuski. Ja myślałem, że to tak z szacunku i w trosce o mnie. Natomiast przynajmniej 2 polskich księży troszczyło się, czy ja już na pewno jestem unieruchomiony. I jak już byłem unieruchomiony, Warszawa została zmieniona na Częstochowę, więc ludzie z Częstochowy przylecą do Alzacji, a „Solidarność” na pobożność. Wściekłem się, jak już się o tym dowiedziałem, jak wyszedłem, coś mu tam powiedziałem temu księdzu, pewnie bardzo niemiłego. To się skończyło, to się urwało, Żolidą niestety już nie zrealizował, bo został ranny w czasie polowania. Stracił praktycznie cały miesiąc lewej ręki.